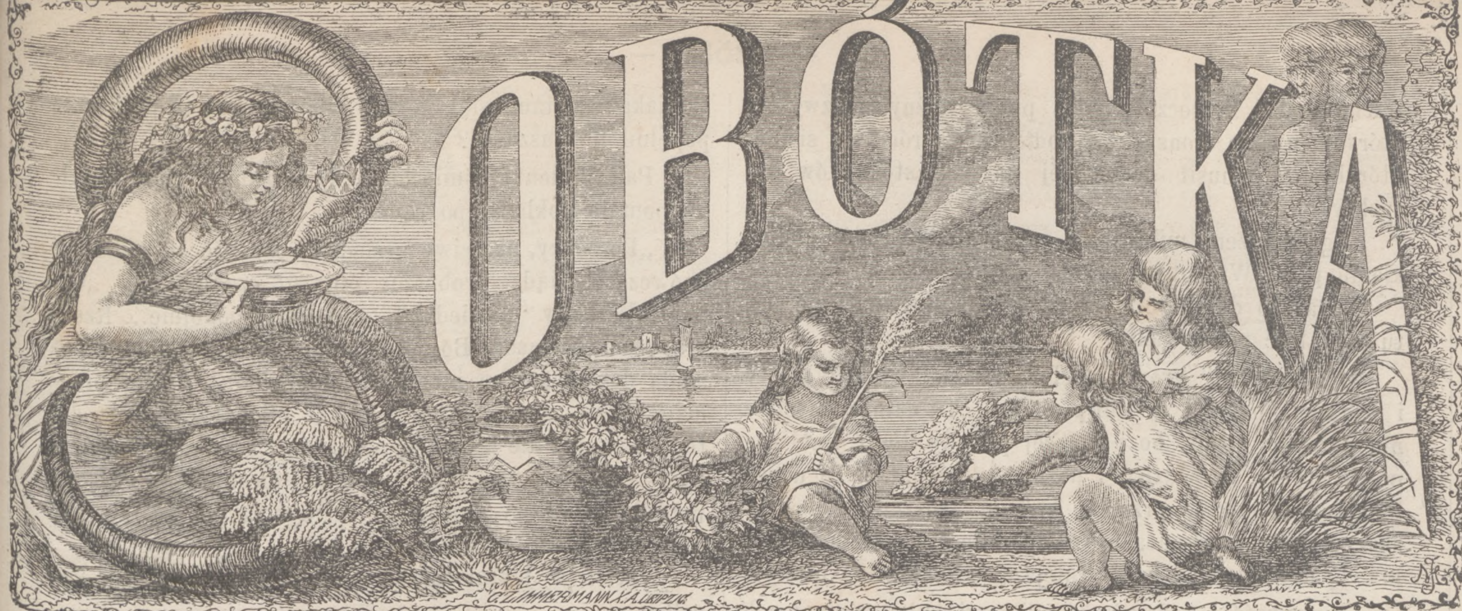


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 33. Poznań, dnia 13 Sierpnia 1870. Rok II

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Cząg dalszy.)

„Panowie!“ zawołał pan Walenty, podniesionym głosem nadając sobie odwagi „oskarżenia tego w całéj rozciągłości czytać nie potrzebuję zapewne, treść jego wiadomą jest wszystkim. Nieprzychylność, szorstkość, nieludzkość nawet, jaką ksiądz proboszcz względem parafjan swoich okazuje, jego niedbałość w odprawianiu nabożeństwa, w utrzymywaniu porządku w kościele i na cmentarzu, przycinki, jakich względem osób pewnych na kazaniu sobie pozwala, — słowem wszystko, cokolwiek z ręką na sercu i z czystém sumieniem zarzucić mu możemy i powinniśmy, szczegółowo i obszernie spisałem.“

„Hola, hola!“ zawołał czupurny pan Koziołek, jeden z uboższych krawców miasteczka, „jeszcze jedno dodajmy panie Walenty. Wczoraj, panowie, w jasny dzień, około drugiéj z południa, ksiądz proboszcz przed figurą nie zdjął kapelusza!... Widziałem, jak Boga kocham, widziałem!...

„Ależ pocóż mi asan przerywasz swym krzykiem?“ gniewnie zawołał pan Walenty, wypadłszy z toku naprzód obmyślanéj przemowy. „Ważniejsze my tu mamy sprawy przed sobą, jak się asan przekonasz niedługo.“

„Ależ to jest lekceważenie świętości, którego darować nie można! żywo gestykulując zawołał pan Koziołek.

„Spokojnie!“ z należytą powagą zauważył pan Susełka. „I dla tego punktu znajdzie się miejsce w oskarżeniu.“

„Panowie, zaczął na nowo pan Walenty, „niechcę wam całkiem odbierać otuchy, ale oświadczyć muszę otwarcie, że podług mojego przekonania prześwietny konsystorz na wymienione punkta żadnéj nie zwróci uwagi.“

„A to dla czego?“ zawołał nieustraszony pan Koziołek.

„Dla czego?“ odparł pan Walenty, pod wpływem szyderczéj żyłki wypadając z toku uroczystéj mowy, „dla czego, pytasz mi się asan?“... Alboż to u nich nowina podobne skargi parafjan?“... Tysiące ich przychodzi co rocznie i dla tego wszystkie wędrują do kosza... Kruk krukowi oka nie wykole, ksiądz zawsze niewinnym jest w téj sprawie, to zawsze oszczerstwo i potwarz!... A choć nakoniec rzecz tę zdadzą dziekanowi, chociaż dziekan zjedzie na miejsce, to jak tu domacać się prawdy?... Ksiądz na prędce jaki taki przywróci porządek, serdecznie przyjmie dziekana i zawsze będzie niewinnym!... A cóż nam pozostaje w tym razie?...“

Argument ten trafił widocznie do przekonania zebranych, bo na twarzach kłopotliwa malowała się niepewność. Nawet czupurny pan Koziołek na żadną nie zdobył się odpowiedź, tylko myśli chcąc zbudzić z uśpienia, wielkim palcem uderzył się w czoło. Piórkiewicz, aby zachować pozór należyty, odłożył Dziennik nareszcie, skrzyżował ręce na piersiach i jak gdyby nad tym samym rozmyślał problematem, słodkie oczy utopił w posowę. Nikt zresztą nie zważał na niego. Pan Walenty był panem sytuacyi i rozkoszował się niepewnością obywateli...

„Panowie!“ zaczął po chwili, przypomniawszy sobie ustęp z obmyślanéj mowy, „do powyższych punktów,

trzeba dodać koniecznie jakiś punkt ważny, niezwykły, któryby uwagę konsystorza od razu zwrócił na siebie, któryby go zmusił do ścisłéj naszych stosunków inspekcyi“

Zgromadzeni milczeniem przyznali słuszność głębokiemu pana Walentego rozumowaniu.

„Bardzo dobrze“ odezwał się pan Susełka „ale jak tu wynaleść punkt taki?“

„Wynaleźć?“ gromkim głosem zawołał pan Walenty i w zapale uderzył w stół pięścią. „Tu nam wymysłów nie potrzeba wcale, bo i rażącéj prawdy dosyć jest, panowie, tylko ją widzieć i poznać potrzeba!... Te uchybienia proboszcza, przeciw którym słusznie zanosimy skargę, i ślepy namacaćby zdołał, ale kto ma oczy, „kto ma bystry umysł, ten ważniejszą daleko winę odkryje

Ciekawość i podziwienie widnemi były na twarzach zgromadzonych. Pan Walenty czuł swoją wielkość i coraz większym unosił się zapałem.

„Panowie!“ ciągnął daléj, „przed pięciu laty kawał naszego gruntu ustąpiliśmy Szyszkiewiczowi... Kto nas do tego ustępstwa nakłonił?... Kto nas o niesłuszności naszych uroszczeń przekonał?... Ksiądz proboszcz!... Otóż panowie!“ zawołał głośno, bohaterską przybierając postawę, „ja pierwszy wypowiadam otwarcie, że byliśmy w tenczas ofiarami niegodnéj umowy, że dla prywatnych widoków odarto nas z naszéj własności!...“

Frazes ten na słuchaczach ogromne zrobił wrażenie. Tak ważny i niespodziewany zarzut napełnił ich przestrachem, radością i podziwieniem. Genjusz pana Walentego zaimponował tym słabym umysłom, myśl jego jak błyskawica rozjaśniła horyzont ich niepewnych nadziei, ale wielkość tego niejasnego dla nich zarzutu, niebezpieczeństwo nieprzewidzianych skutków przytem głęboko zakorzeniony jeszcze szacunek względem proboszcza wyrodziły niepewność i obawę.

„A gdzież dowody?“ bąknął pan Suselka, swéj ważnéi niezapominając roli.

„Ho, ho, dowody, dowody!“ tryumfująco zaśmiał się pan Walenty. „Dla ślepych tylko niema tu dowodów!... Rzecz jasna jak na dłoni, panowie!... Od ojców naszych pamięci grunt ten zawsze należał do gminy, a pan Szyszkiewicz utrzymuje nam w oczy, że tam kiedyś w roku dwunastym i ten kawał zagajenia do Grabinek dokupionym został, że tylko w czasie niepokojów i granice zniknęły i dokumenta zakupne przepadły. Czyż to nie śmiechu warte, panowie?... Jestci tam wprawdzie wieść jakaś i jakieś skrypta prywatne, ale gdzież dokument sądowy?... Wstydzić się powinniśmy, panowie, że nas taki odrwigrosz tak łatwo uchwycił na plewy!...“

„Ależ proces, proces natychmiast!“... zawołał wyskakując czupurny pan Koźiołek.

„Tak jest, proces, proces, panowie!“ kilka odezwało się głosów.

Zapał i oburzenie zaczęły się budzić w umysłach. Pan Walenty przełamał ostatnie lody obawy i potok szerokim popłynął korytem.

„Ależ panowie, panowie!“ nosowo zawołał pan Susełka, „odchodzić zaczynamy od rzeczy... Mówiliśmy dotąd o proboszczu i punkt ten wyjaśnić nam trzeba... Bo jakąż, pytam się, w téj sprawie ksiądz proboszcz popełnił niesłuszność?“

Pan Walenty uśmiechnął się litośnie i pana Susełkę poufale poklepał po ramieniu.

„Poczciwy, poczciwy sąsiedzie, czy wiecie, jakie mi naówczas ksiądz proboszcz objawił zdanie?.... „Ot, panie Walenty,“ powiedział, „ustąpmy spokojnie... Rzecz niepewna, niejasna, Bóg wie jakie tam Szyszkiewicz posiada dowody, a za nim mówi niejedno... Proces przeciągnąć się może, możemy stracić niemało, toć już dla tego kawałka nie warto się narażać na straty...“ I sąsiad pytasz się jeszcze jaką popełnił niesłuszność?... zamydlił nam oczy, sąsiadku, i wystraszył na korzyść Szyszkiewicza!...“

„Ależ w jakim celu?“ nieśmiało zapyt ł pan Suselka.

„Czyliż to sąsiad niewidzi umizgów tego panicza do siostrzenicy proboszcza?“ niecierpliwie zawołał pan Walenty. „Czyliż o tém u pana Filipa nie rozmawialiśmy niedawno?... Staremu kutwie nie do smaku zapewne te konkury, lepszegoby on pragnął dla syna ożenku, a proboszczowi uśmiecha się, uśmiecha tak bogata dla panny partyjka!... Albo więc ująć sobie chciał w ten sposób starego, albo między obydwoma istniała jaka umowa... Tak, tak, sąsiadku, państwo młodzi po naszéj krzywdzie pójdą do ołtarza!...

Pan Susałka całą pięścią uderzył się w czoło, a w zgromadzeniu powstał ruch i zapał ogromy... Wszyscy w głębi serca podziwiać musieli polityczny zmysł pana Walentego...

„To jasne jak słońce, panowie!“ krzyczał zapamiętale pan Koziołek.

„Oszukano nas niegodziwie!“ zawołał pan Wybierkiewicz.

„Proces, proces prowadzić musimy!“ wtórowali chórem zebrani.

„Proszę o głos, proszę o głos!“ krzyknął w śród ogólnego zamięszania po raz pierwszy pan Łyczek. „Ze zdaniem pana Walentego nie całkiem zgodzić się mogę i dla tego proszę o objaśnienie.“

Na głos opozycyi chwilowa nastąpiła cisza.

„Panie Walenty“ interpelował pan Łyczek, „o ile mnie się zdaje, ksiądz proboszcz z Szyszkiewiczem w nieszczególnych żyje stosunkach, od czasu owego ustępstwa całkiem zerwali znajomość... O załotach panicza ksiądz proboszcz niewie zapewne, bo gołąbki widują się ta nie i jak największy zachowują sekret.“

Zarzut ten poruszył troszeczkę głębokie przekonanie zgromadzonych, bo żaden stosownéj nie znalazł odpowiedzi.

„Nie tęgi z was dyplomata, panie sąsiedzie,“ wzruszając ramionami odparł pan Welenty, „lada lis was w pole wywiedzie... Ksiądz proboszcz nie bez kozerylęka się domyślności parafjan i tą pozorną niezgodą zamydlić im oczy stara. Jakżeżby nie miał wiedzieć o załotach Szyszkiewicza, kiedy to rzecz jak świat stara a głośna w całéj okolicy?... Ale dla pewności trzeba mu grać rolę oszukanego stryjaszka, któremu niezadługo oświadczyny jak piorun spadną na głowę...

Ale zezwoli, zezwoli, o to nie miejmy obawy!...“

Pan Susełka po raz drugi swe wyniosłe czoło porządnym obdarzył kułakiem, pan Łyczek zawstydzony usiadł na swém miejscu, a przekonane zgromadzenie, jasny dowód pana Walentego głośnem przyjęło uwielbieniem.

„To kryminał, kryminał!“ krzyczał pan Koziołek, wylatując na środek pokoju, „przed sąd kryminalny z tą sprawą!...“

Pan Walenty zadrżał z przestrachu O takiéj ostateczności nie pomyślał wcale i przeraził się myślą jéj skutków...

„Głupiś asan z kryminałem!“ krzyknął groźnie na struchlałego Koziołka piorunującém mierząc spojrzeniem. „Ani rozsądnie, ani uczciwie byłoby z naszéj strony duchowną osobę poniżać w ten sposób... Rzecz tę rozstrzygnie konsystorz, a dla zatwierdzenia naszych słusznych przekonań ze Szyszkiewiczem proces i basta!“...

Zapał i zamięszanie w zgromadzeniu do najwyższego dochodziły stopnia.

„Proces, proces!... podpisywać skargę!... niech żyje pan Walenty!“... wołano ze stron wszystkich,... głos rozsądku i umiarkowania umilkł zupełnie. Jedyny pan Łyczek siedział milcząc ze spuszczoną głową i widocznie nie bardzo sprzyjał takiemu obrotowi rzecy, a pan Susełka poważnie stał przy swém krześle i nosowym głosem domagał się spokojności.

Korzystając z téj wrzawy, Piórkiewicz, który dotychczas spokojnie siedział na miejscu i oczu nie spuścił z posowy, cichuteńko wymknął się z pokoju i chyłkiem podążył w gościnne progi pana Filipa... Na twarzy Piórkiewicza jakaś tajemna malowała radość. Piórkiewicz czuł się widocznie panem położenia, miał skryte plany i cele i w duchu niejedną obliczał już korzyść... Lecz wchodząc w dom pana Filipa, znowu zwykły przybrał wyraz twarzy, był znowu Piorkiewiczem, słodkim, poważnym, obrachowanym, jak zwykle!...

U pana Filipa, w pierwszych z gościnnych pokoi trzech mężów siedziało za stołem: pan Filip, pan Majcher, mistrz kunsztu rzeźniczego, i pan Szydełko, szewc zawołany w miasteczku. Pan Filip, dowiedziawszy się o skardze, jaką mieszczaństwo do konsystorza przesłać zamierzało, postanowił skorzystać z tak stanowczéj chwili i porzucając nieprzydatną już nadal komedją, czynnie wystąpić na scenę. Kiedy więc dnia tego wieczorem pan Majcher i pan Szydełko, dwaj spokojni mieszkańcy miasteczka, zrozpaczeni szybkim postępem rozruchu, przybyli do niego po radę, pan Filip nie dał się prosić i chociaż widocznie ciężką osłabiony chorobą, zasiadł do walnéj narady. Ale jak powstrzymać płomień, który już cały ogarnął budynek?... jak sprowadzić ludzi na drogę rozsądku, których namiętność w błędne zapędziła tory?... Trzéj mężowie poznali za smutkiem, że złe odwrócić tak późno niemożliwém było zadaniem; jedynie własny honor z tego powszechnego ratować trzeba było rozbicia. Stosownie więc do rady genialnego pana Filipa ułożono akt zaufania, który zasługi proboszcza górnolotnie wynosząc pod niebo, niecną pana Walentego intrygę w jaskrawych malował kolorach. Akt ten równocześnie ze skargą rewolucyjnéj partyi do prześwietnego konsystorza przesłanym miał zostać. Czytelnik pojmie z łatwością, jak szczęśliwą była w téj mierze polityka pana Filipa... Pan Filip, pomimo chęci najszczerszéj z pomocą przychodząc za późno, nie usunął bynajmniéj grożącego panu Walentemu nieszczęścia, a zyskiwał wdzięczność i szacunek proboszcza, świetne widoki dla syna i zupełną w przyszłości wśród obywatelstwa przewagę!...

Wlazł na Gruszkę.

Farsa bijograficzna.



lazł na gruszkę
Siał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi.
Przeczytajcie faramuszkę
Jeśli was obchodzi.
Inny bowiem calkiem świat
Znajdziecie w téj farsie,
Pamiętniki z moich lat,
Spędzonych na Marsie.

* * *

Ledwiem wylazł z kolebeczki,
Na świat, na tę biedę,
Mama pędzi do książeczki,
Ucząc A, B, C, D......
Czy to splamię sukieneczkę,
Czy zabawię się troszeczkę,
Czy to z piasku biczyk zrobię,
Czy wesoło skaczę sobie,
Mama zawsze krzyczy, łaje,
Mamie wszystko złem się zdaje.

— Staś niegrzeczny, źle się myje,
Zwalał nosek.... mama bije.
Staś nieładnie stawia nóżkę,
Źle się kłania, chodzi...
Wlazł na gruszkę,
Siał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi.

* * *

Wreszciem urosł na dwa łokcie,
Chodzę grzecznie, skromnie!
Umywam się, tnę paznogcie .....
Znowu tatko do mnie.
Bierze kredę, liczby piszę,
Przykład każe robić......
Niech się zmylę, niedosłyszę,
Znów tatko chce obić......
Skarżę się nieraz na brata,
Że choć więcéj broi,
Chociaż ciągle figle płata,
Fary się nie boi.

Choć zwala nosek.... poduszkę......
Wszystko mu uchodzi......
Wlazł na gruszkę,
Siał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi!

* * *

Wreszciem doszedł lat dziesiątki,
Wstępuję do klasy:
W jednéj książce mam wyjątki.
W drugiéj tryby, czasy......
Tekę przyniosłem na biedrze,
W drugiéj ławie się sadowię.
Pan profosor na katedrze
Siadł, i prawi nam.... o słowie!
Inny wykładać poczyna,
Jak to Grek bił Rzymianina,
Jak bóżkowie po igrzyskach,
Jadali na złotych miskach, —
A Jowisz najstarszy bożek,
Co to na nich trąbił w rożek,
Jak mądrość rzucił na ziemię,
Kiedy dostał pałką w ciemię....
Jakto zresztą gdzieś w ogrodzie,
Dwoje ludzi żyło w zgodzie......
Aż tu szatan, z babą z bratan,
Kusi, durzy, zwodzi:
Wlazł na gruszkę,
Siał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi!

* * *

Gdym złożył maturitata,
Chciałem nieco użyć świata:
Aż tu lecą z każdéj strony,
Mama, tatko, wujo!
Mówią żem niedouczony,
Rad tysiące snują.
Mama ze mnie chce prawnika,
Tatko kształci na medyka,
Wuj radzi na gospodara.....
Wreszcie siosta się odważa
Dziewicze wścibić trzy grosze!
Każdy swe projekta chwali.
Długom słuchał, aż zmęczony,
Proszę, aby mi głos dali.
I tak rzeknę: czyż koniecznie,
W szkolnéj ławie siedzieć wiecznie?
Wszakże Gucio, Hipcio, Franio,
Już naukę wyższą ganią!
Na to ojciec fuknął gniewnie,
Głupiś jest mój synu......
Oni złoto mają pewnie,
Więc niechaj drwią z czynu!
Zamiast w głowę, kładą w puszkę,
Głupstwo im uchodzi!
Wlazł na gruszkę,
Siał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi......

* * *

Więc mi chwile znowu biegą,
Nad loiką Trentowskiego.
Rozum w żagle się nadyma......
Nieraz mówię że mię nima.
Kiedy myśl w te głębie leci,
Prawdokłamu wiedzą świeci......
Udowadniam, rozumuję,
Jak człek żyje, perceptuje,
Dla wszechświata jak jest niczem,
Ze swą głową i obliczem......
Jak pozbawion własnéj woli,
Nie pomoże choć go boli......
Musi tańczyć jak mu grają,
Podziękować kiedy łają.
Szyję kornie kłaść w obróżkę,
Co go jak chce wodzi:
Wlazł na gruszkę,
Siał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORALE I WYSPY KORALOWE.

(Urywki z pamiętników naturalisty).

(Ciąg dalszy).

Żołądek stułbi, jeżeli się tak wyrazić można, posiada pewną sobie właściwą pojętność, gdyż strawność jego, czyli działanie, tylko obcych dotyka części, nie narusza zaś własnych ramion, gdy te przypadkiem przy połknięciu zdobyczy także się do wnętrza dostaną. Trambley, najdokładniejszy ich badacz, powiada że pewnego razu dwie stułbie, tę samę pochwyciwszy zdobycz, długą ze sobą toczyły walkę, która się ostatecznie tém zakończyła, że silniejsza słabszą wraz z uchwyconą z dobyczą połknęła; ale tą razą, po odbytém trawieniu, nietknięty polip znów na wolność się dostał.

Lecz bez wątpienia najciekawszą jest rzeczą rozmnażanie się stułbi; trojaką bowiem do tego mają drogę. Ręka odcięta człowiekowi, już mu nigdy nie odrasta; odcięty ogon jaszczurce po pewnym przeciągu czasu na nowo odrasta; posiekana zaś stulbia tak się w każdéj ze swych cząstek uzupełnia, iż tworzy mnóstwo odrębnych polipów. Nietrudno nam pojąć przyczynę tego zjawiska, każda bowiem cząsteczka ciała stułbi jest podobna do drugiéj, druga do trzeciéj i t. d., czyli że w dziwném tém zwierzęciu wszystkie cząstki są sobie podobne i wszystkie jednakową odbywają czynność. Odosobnione, nie przestają żyć, a nawet rozrastając się większéj jeszcze objętości dochodzą. Drugi sposób rozmnażania się polipów jest za pomocą pąków, i z tego mianowicie względu polipy bardzo są podobne do roślin. Młode polipy ze starych w ten sposób wyrastają, że z początku powstaje w jedném miejscu wyrosłego polipa małe wydęcie nakształt brodawki. Nowy ten pąk polipa komunikuje się tak długo z matczynym żołądkiem, aż mu wyrosną ramiona. Wtenczas młoda stułbia o własnym poczyna żyć żołądku, na swoje wyżywienie na

własną poluje rękę, lubo pozostaje z macierzyńskim w połączeniu. W ten sposób jedna stułbia na kilka może rozmnożyć się pokoleń, które nakształt gałęzi połączone, jednę tworzą osadę. Koniec każdéj gałązki jest zarazem końcem każdéj pojedynczéj stułbi, czatującéj na zdobycz, która pochwycona przez kilka razem, staje się powodem nieustannéj między niemi walki.

Taki sposób rozmażania, napotykany w wodach słodkich Europy ku końcowi jesieni, wyjaśnia nam najdokładniéj kształt korali. Przyjąwszy bowiem, iż rozmnażanie tych ostatnich, przy ciągle sprzyjających okolicznościach klimatu, nie odbywa się w inny sposób jak tylko przez pąki, tudzież iż każdy polip na swéj powierzchni pokrywa się kamienistą masą, nietrudno nam będzie pojąć, że tym sposobem powstają owe pnie kamienne, na których mnóstwo polipów żyje, jednę tworząc rodzinę.

W morzach międzyzwrotnikowych, gdzie rzeczywiście klimat i wszystkie warunki życia są najodpowiedniejsze dla wzrostu polipów, w ten sposób powstają korale, tworząc masy czyli osady tak wielkie, iż dają początek ławom czyli rafom, a nawet, jak to niebawem zobaczemy, i wyspom koralowym.

Samo się przez się rozumié że na podobnych polipnikach nowo powstałe zwierzę buduje sobie także kamienną osłonę, dając początek nowemu polipowi, gdy poprzedni umiera, pozostawiając jednakże swój kamienisty domek. To także nam tłumaczy ową rozmaitość form pni polipowych.

Rozkład chemiczny masy wapiennéj, z jakiéj są złożone polipniki, dowiódł że powstaje ona głównie z węglanu wapna, a przytém w małéj ilości znajduje się w niéj chlorek wapna i fosforan. Tylko bardzo mała liczba polipów tworzy sobie domki rogowe lub krzemieniste. Masa kamienista korali służy przeto polipom za miejsce przytułku, do którego téż stale są przytwierdzone, czyli, mówiąc inaczéj, z tą masą kamienistą zrosłe. Każdy polip osobną ma niejako komórkę, w któréj zupełnie się ukrywa, każda zaś komórka łączy się końcem z podobnym kanałem poprzedniéj. Widoczną jest rzeczą iż układ tych kanałów, a zatém i kształtu korala, głównie zależy od prawidła podług którego działa władza tworzenia się pąków, a następnie rozgałęzień.

Życie więc istnieje tylko na powierzchni korala, wnętrze jest obumarłą częścią, skałą; młode zaś polipy bezustannie wznoszą nowe budowy na grobach ojców, aż nareszcie powierzchnia morza stawia kres wspólnym tym pracom.

Te uwagi przerwał mi znowu dzielny mój marynarz Requin, który zaprawiwszy zęby na uczonym panu Véron, zapragnął zapewne i mnie pokosztować.

— Leć pan prędko... natychmiast, na pokład! woła zapalczywie. Cuda! cuda! pan zobaczysz.

Jednym skokiem jestem już na pokładzie i po raz drugi oniemiałem z podziwu. Noc! noc południowego oceanu, ze światłem morskiém! To co my nazywamy po prostu nocą, było najpiękniejszém zjawiskiem przyrody. Leciuchny wiaterek, skrzętnie chwytany wszystkiemi żaglami, posuwł nas zwolna... niebo jak kopuła błyszczało tym przejrzystym, cudownym urokiem nowych widoków i nowych gwiazd. A morze? morze świeciło tak pięknie jak nigdy. Powierzchnia jego była gładka jak szyba, ciemna jak aksamit, tysiącem bladych drobnych iskier posypana; a gdzie kołysząc się zwolna okręt lekko rozprysnął w bok pianę, fala świeciła z taką mocą, że światłość oczy raziła. Skryte jasne, drżące w ogniu złotawym i zielonym, jakby deszcz szmaragdów i dyamentów na ciemnym aksamicie, tak miękko, łagodnie i powiewnie wionęły, jakby za lada powiewem wiatru rozpłynąć się miały; drobne rybki, niby płomyki, sunęły po ciemnéj topieli. Spuściłem linę do wody, mocno ją poruszając, i napatrzyć się nie mogłem przedziwnych świateł kolorów. Często już widziałem morze świecące, jaśniéj nawet niż tego wieczoru, bo się światło powiększa z gwałtownością poruszeń wody, ale nigdy nie wyobrażałem sobie aby światło i woda w tak cudne zlać się mogły kolory. Miękki połysk tych braw błyszczących można chyba porównać z ową tkanką ze złotych piór kolibrowych, na czarném tle, którą zdobią sobie włosy młode dziewczęta w Brazylii.



Kościół św. Wita w Pradze Czeskiéj.

Opodal stado ryb wielkich pluskało się w spokojnéj wodzie, rzekłbyś że w ogniu się tarzały. Od widnokręgu jasne pasy się ukazały, niby gdzieś tam ogromny pożar na lądzie stałym. Ani sternik, ani kapitan, ani żaden z majtków, nawet stary Requin, nic równego nigdy nie widzieli. Próżne były nasze domysły; aż dopiero gdy jeden z tych pasów z nami się zetknął, poznaliśmy że to była ulewa. Ciężkie krople deszczu, pluskając o wodę, rozpryskały ją w tysiące iskier świecą-

cych. Smug za okrętem lśnił się niby wstęga ognista, a wszystkie żagle były oświecone. Cała powierzchnia wody łamała się w bałwany ogniste. Jak daleko oko zasięgło, wszędzie tak samo; nawet otchłań niezgłębiona oceanu zdawała się światłem przesiąkła. Wszyscy niemal znaleźliśmy się na pokładzie, przypatrując się urocze mu zjawisku; zbliżeni do tych mniemanych płomieni, poznaliśmy że tę jasność sprawiała niezmierna moc unoszonych przez fale zwierząt które pływając w rozmaitych głębokościach, co chwila zdawały się zmieniać swą postać. Zwłaszcza w głębi płynące, mniéj wyraźne, niby rozpalone ogromne kule armatnie się przesuwały, kiedy na powierzchni były podobne raczéj do snopów ognistych.

Korzystałem skwapliwie z okoliczności, światło to bowiem pochodziło od pewnego rodzaju zwierząt ściśle związanych z polipami, mianowicie od chełbi i nereid czyli tak nazwanych polipów chełbiowatych. Spuściliśmy ogromny ceber i wyciągnęliśmy zaczerpaną wodę morską. Świeciła za poruszeniem podobnie jak i poprzednio, i wtedy dostrzedz mogliśmy wyraźnie, iż światło to pochodzi od pewnych istot przejrzystych jak szkło, kształtem podobnych do grzybów pływających, których ciało żyłami poprzerzynane, nagie, nieprzykryte ani skórką ani pokrywą. Z dołu w miejscu trzonu wisi mnóstwo wyrostków, jakby nici lub korzenie.

Requin, przypatrujący się również jak i my temu zjawisku, sięgnął ręką do cebra i jednę z tych świecących gwiazd uchwycił ręką, lecz natychmiast rzucił ją z krzykiem, sparzony boleśnie; była to tak nazwana zywłoga (Physalia), rodzaj chełbia, zwany od majtków galaretą zwierzęcą. Śmiech i żarty marynarskie były nagrodą nieuwagi starego żeglarza, który klął się na swego dziadusia rekina, że gdyby tylko miał mniéj ze dwadzieścia lat, skąpałby niejednego śmiałka w morzu przepełnioném galaretą.

Zeszedłem do kajuty. Dla mnie widok tyle oryginalny miał ścisły związek z wątkiem moich uwag; chełbie bowiem, jak już wspomnieliśmy, łączą się niejako z polipami. Wprawdzie pod względem rozwoju daleko wyżéj stoją od polipów w ogólnym zwierząt układzie, nowsze jednak spostrzeżenia okazały, że pomimo doskonalszéj budowy ciała, powstają z polipów, wyrastając, z nich w kształcie pęków. Dziwne to są i niezwykłe objawy, bo z pąka z którego zwykle polip się powinien utworzyć, powstaje chełbia, która jest daleko doskonaleszém zwierzęciem od polipa. Przypominam sobie iż podobne zjawisko pierwszy raz zauważył duński zoolog Steenstrup i nazwał je zmianą pokoleń. Zmiana pokoleń, dość częsta u zwierząt nizko w rozwoju stojących, zależy na tém, że dopiero trzecie pokolenie jest do pierwszego podobném. I tak z polipów powstają chełbie; a z tych dopiero jajka dają znów początek polipom.

Do tych także polipów chełbiowatych policzono nasze stułbie; nie tworzą wprawdzie chełbi, ani też nie wyrabiają dziarstwin, ale tak są do obydwóch tych gatunków morskich podobne, iż kładą je zwykle na przechodzie.

Chełbie powstają po większéj części ze stułbi morskich w ten sposób, że z boku ciała, w miejsce zwyczajnego pąku, nieco większy i okrąglejszy pąk wyrasta, z którego późniéj chełbia się rozwija. Chełbia, dostatecznie rozwinięta, od macierzystego ciała się odrywa, swobodnie w morzu pływając. Szczególniéj ciekawą jest wspomniana wyżéj zywłoga. Składa się ona z wielkiego pęcherza galaretowatego, napełnionego powietrzem. Przez nie wpuszczając powietrze, zwierzę nadyma grzebień służący mu za żagiel; wypuściwszy zeń powietrze, może go zwinąć dowolnie. W końcu ostrzejszym znajduje się mały otwór, służący do wypuszczania powietrza, zwykle ściągnięciem błony od wnętrza zamykany. Szczyt grzebienia i ściany przedziałowe są żółto-czerwone, również końce trąbek, zaś pęcherz i czułki fioletowe. Od końca tępszego jest pewna ilość małych ciałek, mogących się rozdąć jak flaszka, koloru czerwonego. Odtąd rzędem ku końcowi węższemu spadają wiązki włókiem, długości jednego cala. Wiązki zwykle jak krzak z jednego się pnia rozrastają i ruszają się prawie bez ustanku. Między temi, czułki dwojakie spadają: od dwunastu do dwudziestu szerszych, kręconych, od brzegu pozawijanych, na długość stopy jednéj, a mogących się przedłużać do trzydziestu. Pośród nich wije się mniéj więcéj do pięćdziesięciu mniejszych cieńszych, delikatnych, spiralnie zakręconych, osadzonych ziarnami jak paciorki.

Wiązki i czułki powleczone są śliną oddziały wającą alkalicznie, która za dotnięciem parzy jak pokrzywa. Kanały trąb, w wiązki połączone, schodzą się po kilka w jeden wspólny, zachodzący ukośnie między błoną zewnętrzną a wewnętrzną. Zawijany brzeg czułek składa się z gruczołów ślinę wydzielających. Węzełki sznurków paciorkowatych zdaje się mieć też samo przeznaczenie Niekiedy znajdują się na nich gługie dronka ciałek czerwonych zdających się być jajami. Zwierzęta te płyną gromadami, pęcherzem ponad wodą. Czułki przy pływaniu wiszą prostopadle, i nietylko służą do macania, ale i do pochwycenia zdobyczy. Żér swój, małe ryby, mięczaki, a nawet raki, oplatają czułkami i wysysają trąbami. Pokarm trawią w trąbach, które często widzieć można przepełnione szczątkami żeru Otwór pod pęcherzem, do którego wchodzą kanały trąb, jest zawsze drogą którędy pokarm już przysposobiony rozchodzi się na całe ciało; otwór zaś przy końcu spiczastym, wypada uważać za kanał odchodowy. Trąby i czułki długo jeszcze po śmierci zwierzęcia poruszają się, będąc nawet odcięte.

* * *

Morze... morze! kiedyż przybędziemy do lądu? Lecz nie mam czasu o tém myśléć... Requin mnie znowu woła na pokład.

— Panie! krzyczy zdaleka ze śmiéchem, nałowiliśmy ci morskiego ziela. Jakie piękne! pójdź... spiesz pan zobaczyć. To istne skarby!

Rzeczywiście chłopaki spisali się dzielnie; mnóstwo było ciekawości.

— Albo to nie cudowna sztuka, woła Requin pokazując kawałek czerwonego kamienia z rozłożystemi gałęźmi. Jeżeli takie koło Francyi się znajdują, to niech mnie rekin jak swego połknie z trzewikami...

— A cóżby on robił z niemi? przerwie jakiś marynarz.

— Bah! to samo co z twoją głową, która jest głupia jak but.

— O zawsze mędrsza od twojéj, mój panie Requin! woła rozgniewany marynarz.

— Co mędrsza? odpowiada Requin tymże samym tonem mówisz chłopcze mędrsza? Powiedzże mi co to jest, kamień czy ziele? ciągnie daléj, pokazując odłam czerwonego korala. A co trutniu? wieszże zkąd się wzięło? krzyczy machając rosochatą a cudownie zachowaną Oculina virginea, na którą zwracałem wzrok łakomy. A widzisz, niewiesz... niewiesz nawet co przedstawiają te łosiowe rogi, dodał z przekąsem, rzucając przeciwnikowi pod nogi wielką Flustra. A wiesz jak się to wszystko nazywa, do czego służy? i ty powiadasz żeś mędrszy!

I z oburzenia rozzłoszczony majtek zaczął po jednym wyrzucać za pokład najpiękniejsze okazy. Stanąłem na widok barbarzyństwa takiego jak wryty, a gdy przyszła chwila upamiętania, gdym się rzucił ratować moje skarby, już tylko cztery sztuk pozostało: wandal resztę powyrzucał z okrętu.

Natychmiast więc zbieram szczątki, biegnę do siebie i za pomocą sztuki rysowniczéj uwieczniam na papierze piękne kształty korali. Najprzód zroiłem odłam czer-

wonego korala (Corallium rubrum), z którego tyle pięknych wyrabiają ozdób, gdyż posiada znaczną twardość, miły kolor i piękny połysk przyjmuje. Naskórek pokrywający kamienną skorupę czerwonego korala, jest cielistéj barwy, a w nim mieszkają polipy mlecznego koloru. Właściwą ojczyzną czerwonych korali nie jest morze, po którém lonty nasz okręt szybuje, ale raczéj morze Śródziemne, zkąd najwięcéj bywa poszukiwany w handlu. Stósownie do twardości i łatwości z jaką gładzić go można, rozróżniają do piętnastu odmian tego korala. Najpiękniejsze podobno poławiają się na brzegach Francyi. Regularny połów korali odbywa się w niektórych miejscach morza Środziemnego, jako to w blizkości Trapani w Sycylii, około Messyny i na brzegach Afryki. W innych zaś miejscach podzielono morze na dziesięcioletnie rewiry. Połów korali piękne przynosi zyski, tak rybakom, jak i przedsiębiercom tego korzystnego procederu

Na drugiém miejscu, w części tylko wystający z wody, wychylił się piękny, marmurkowaty Oculina virginea, niekiedy w tych morzach napotykany, a właściwy morzu Śródziemnemu Nad nim na skale wzniósł się wspaniale koral królewski, bardzo pospolity w tych wodach i używany czasem przez Indyan do ozdoby fantastycznego ich stroju, i nakoniec na samym dole wypadła wspaniała Flustra foliana, kunsztownie rzeźbiona i tkana. Oto i obraz gotowy! Cała osada podziwia piękność roboty, a gdym jeszcze dorobił i statek, na ktorym płynęliśmy, podziwienia nie było końca...... i tylko Requin się dąsał, żem zapomniał o nim! o nim co ma głowę mędrszą niż buty, i co kieruje statkiem.

Wspomnienie z podróży.

(Cząg dalszy).

IV.

Po długiéj i ciężkiéj słabości, w któréj jakieś okropne i nieokreślone widziadła rwały ciągle wątek myśli, wróciłem nareszcie do przytomności. Usta były spieczone, język gorżki, głowa rozpalona, czoło w pocie, ręce wilgotne a osłabienie ubezwładniało cały organizm. Zaledwie strudnością byłem wstanie myśl loiczną zebrać. — Gdzie jestem? było to pierwsze pytanie które sobie zadałem. — Wzrok nie służył; byłem jednakże w stanie rozróżnić dwie gałki złote u łóżka, i to mię przekonało, że jestem u siebie. Łóżko nie stało na właściwem sobie miejscu; wysunięto je z alkowy i umieszczono w pobliżu okna, zapewne z celem ażeby świeże powietrze orzeźwiało chorego. Gdy takie myśli przechodziły mi przez głowę, w krótce upadłem znowu w pewnego rodzaju odrętwienie. — Umysł potrzebował chwil kilku wypoczynku, poczem daléj obserwacye robiłem. Przy oknie stał stolik, na stolika lampa, a przyniéj tyłem obrócona siedziała kobieta z robotą w ręku. — Na kominie nie ma ognia... jest więc lato. Okno otwarte... ciepło być musi... Lampa zapalona... to noc. Wszystko zdawało mi się dziwnem — ale największą ciekawość budziła kobieta szyjąca.

W tem miejscu pozwolę sobie przerwać opowiadanie i przytoczyć wyrazy przed paru dniami słyszane od jednéj z moich pacyentek. „Mężczyzni błogosławią igłę, jako najpotężniejszy i najniewinniejszy środek rozrywki kobiety. - Wy mężowie lubicie z pod gazety na wpół czytanéj, albo z po za kłębów dymu waszych cygar, obdarzyć czasem szyjącą kobietę łaskawém spojrzeniem. Biedni! nie wiecie co to się często myśli między dwoma ściegami igły i niewiecie, że często robótka jest tylko zasłoną dla bardzo i bardzo niebezpiecznych medytacyi!

Ale wracam do osoby któréj obecność intrygowała mię bardzo. — Forma głowy i ramion przypominała mi kogoś: ale kogo? Miała na sobie spódniczkę białą i lekki kaftanik. Włosy trochę w nieładzie spadały na czoło, a ramiona na wpół obnażone świadczyły o niekompletnéj tualecie. Wytężanie się dla rozpoznania téj kobiety pozbawiło mię reszty sił tak, że pomimo oporu głowa na wpół podniesiona opadła znowu na poduszkę. —

Kobieta położyła robotę, spojrzała na zegarek i zbliżyła się ku mnie. Zamknąłem oczy. Ona nachyliła się i zdawała słuchać mego oddechu. — Na zimném i wilgotném czole czułem jéj ciepłe tchnienie. Chwilkę potem przyłożyła rękę......

Tym razem nie myliłem się i nie otwierając oczu z trudnością wymówiłem: To ona! Widziałem ją przez powieki na wpół przymknięte. To było dostateczne ażeby siły które mi pozostały na raz opadły; słyszałem tylko półgłosem wymówione wyrazy: „Ach! gdyby żył tylko. Bóg jest sprawiedliwy!“ To dziwne życzenie zatrzymało mię u drzwi wieczności, gdzie jak mi się zdawało dążę przez jakąś otchłań.

Czuć się jak dziecko bezsilnym i istnieć tylko siłą słabéj kobiety, wydało mi się okropnem. Strach ogarnął... drzeszcz przeszedł wszystkie członki... straciłem przytomność zupełnie...

Późniéj, — być może upłynęło kilka minut... kilka godzin... kilka dni, lub tygodni nawet uczułem jak ta sama ręka ocierała pot z czoła, rzeźwiła eterem i ożywiającemi parfumami. Jedną ręką objęła szyję, podniosła głowę, oparła ją na swéj piersi, a drugą poprawiała poduszki. Te jéj starania i troskliwość dziwnie miłe wrażenie wywarło. Było to już oznakę życia, oznaką zmartwychwstania. —

Następnie przyniosła mi jakiś napoj, po wypiciu ktorego czułem się rzeźwiejszy i silniejszy Do téj chwili nie wymówiliśmy ani jednego wyrazu. Bałem się mową rozwiać zachyt w jakim byłem, wolałem więc wytężyć słuch na uderzenia serca w którem tak szlachetna krew płynęła.

Nakoniec odważyłem się zapytać:

— „Od jak dawna jestem chory?“

— „Około czterech tygodni“ odpowiedziała z widocznym niepokojem.

— „Na jaką słabość chorowałem?“

— „Na zapalenie mózgu“

— „Czy niebezpieczeństwo już minęło?“

— „Dziś chodzi tylko o powrót sił“

— „Jakim sposobem to się stało, że pani mię pilnuje?“

— „Jestem siostrą miłosierdzia.“

— „I pani mę strzegła przez cały miesiąc?

— „Nie, przez pierwszy tydzień strzegł kto inny... musiałam pochować dziecko.

Wyrazy ostatnie przejęły mię dreszczem okropnym. Nie matka ale posąg je wymówił.

— „Męczę panią“ rzekłem „proszę mi trochę poduszkę poprawić“

Nic nie mówiąc wykonała prośbę, po czem wzięła się znowu do robótki.

„Pani jesteś panią Bronisławą, nieprawdaż?“ zapytałem wspierając się na ręku.

„Jestem siostrą miłosierdzia“ odpowiedziała nie podnosząc wcale oczu.

Chciałem daléj mówić, ale osłabienie było tak wielkie, że mimowoli głowa na poduszkę opadła i sen skleił powieki.

Była to przerwa długa, gdyż tydzień cały upłynął nim oczy otworzyłem. — Jednakże rozróżniałem wszystko co się w koło mnie działo. Słyszałem głos Dr. R. przychodzącego parę razy na dzień, i pamiętałem, że jeszcze jedna siostra miłosierdzia była obecną, ale sprawozdania z wrażeń zdać sobie nie mogłem.

— Nareszcie pewnego dnia Dr. R. jak zwykle przyszedł i rzekł wskazując na p. Bronisławę.

„Doprawdy, masz pan szczęście, gdyby nie ta siostra miłosierdzia, niewiem coby się z panem stało"

Po wyjściu Doktora zwróciwszy się do p. Bronisławy rzekłem:

„On więc sądzi, że jestem uratowany. A pani jakiego jesteś zdania?"

„Tego samego co Doktor" odpowiedziała obojętnie.

„Ale... ale... jak się pani nazywa?

„Bronisława, siostra miłosierdzia"

„Bronisława! dziwne imię, jakby z romansu albo opery komicznéj"

„Dla czego innym nie zdawało się ono tak śmieczne jak panu" odpowiedziała z łagodnym uśmiechem. „Mogę pana zapewnić, że nieraz powtarzano je bez uśmiechu. — W końcu, nie mam innego, tem więc mię pan nazywaj. — Od dzieciństwa tylko jedna osoba miała to prawo" —

Mówiąc te słowa, wzrok jéj zwrócił się ku mnie i miał dziwny wyraz. — Trwało to krótko, — oczu niespuszczałem chcąc raz jeszcze skrzyżować spojrzenia..... ale okoliczność nie nadarzyła się tak prędko.

ROZMAITOŚCI.

Kościół św. Wita w Pradze Czeskiéj.

(Z ryciną.)

Stolica królestwa Czeskiego liczy obecnie sześćdziesiąt kościołów. Najznakomitszym jednak z nich jest kościół katedralny św. Wita, zbudowany na najwyższém wzgórzu tego miasta, stanowiącém odzielną jego dzielnicę, zwaną Hradczany. Kościoł ten tak ze względu swego położenia jak i swéj przeszłości i pomników dziejowych, wielkie ma podobieństwo do kościoła krakowskiego na Wawelu; zawiera bowiem w sobie liczne groby książąt i królów Czeskich, biskupów i arcybiskupów Pragskich, oraz innych sławnych i zasłużonych mężów narodu Czeskiego, a nadto skarbiec, w którym przechowują się godła i korona królów tego narodu.

Pierwszym założycielem tego kościoła a raczéj zbudowanego w tem miejscu pod wezwaniem św. Wita, był książę Czeski Wacław, zwany świętym, a żyjący na początku Xgo stulecia. Kościół ten istniał blisko czterysta lat, trzykrotnie po pogorzeli odbudowany; czwarty raz jednak tak zgorzał, że ówczesny król Czeski a zarazem cesarz Niemiecki Karól IVty, postanowił był sobie wystawić z gruntu nowy. Monarcha ten był wielkim znawcą i opiekunym sztuk pięknych, a mianowicie budownictwa czyli architektury. Zamierzył tedy wybudować taki kościół jakiego dotąd nie było jeszcze w Czechach i co najmniéj wyrównywający innym europejskim. W tym celu polecił wygotować plany najsławniejszemu budowniczemu, Maciejowi z Arrasu, czyli Arlerowi, rodem Francuzowi, bawiącemu od niejakiego czasu na dworze Pragskim. Kamień węgielny założony został w r. 1344, Budowa gorliwie była prowadzona całe 24 lata do śmierci króla Karóla, a nawet jeszcze lat ośm przez jego syna Wacława IVgo.

Następne dwieście lat ciągłych niemal wojen były przyczyna, że kościół rzeczony pozostał niedokończony, a nawet kilkakrotnie uszkodzony i wewnątrz zniszczony. Wprawdzie król Władysław II Jagielończyk, panujący od r. 1471 do 1516, usiłował go dokończyć, lecz ograniczyć się musiał tylko na jednéj lewéj wieży, pojęcia bowiem ludzi, ożywiające takie kosztowne przedsięwzięcia za czasów Karóla W. zmieniły się na przekonanie, że Bóg nie wymaga od nas wspaniałych świątyń, ale czynów i zakładów świadczących o miłości bliźniego. Nareszcie dopiero w końcu XVIIgo stulecia wzięto się do ukończenia tego kościoła, a stało się to za przyczyną obiegającéj przepowiedni, że ten monarcha opanuje kościół św. Zofii w Carogrodzie czyli Konstantynopolu i zjednoczy państwo wschodnie z zachodniem, który dokończy kościół św. Wita w Pradze podług pierwotnego planu. Cesarz Leopold I poszedł za głosem tego proroctwa i wiarą swego wieku i przy pomocy biskupa Mateusza Ferdynanta Zubkowo rozpoczął budowę 1673 r., leez w owym czasie nie pojmowana, piękności stylu gotyckiego, w jakim budowla ta była rozpoczętą. Różne przeróbki i dodatki, jak np. okrągła miedziana bania na wieży i trzy małe wieżyczki baniaste, skaziły wspaniałość pierwotnego planu, chociaż przepowiednia mądra w tym razie, kładła to za warunek. Kościół jako tako został ukończony. W roku jednak 1757 w czasie oblężenia i dwudziestodwudniowego bombardowania Pragi przez Prusaków, uległ on znowu zniszczeniu tak zewnątrz jak wewnątrz, nie wyłączając nawet grobów królewskich i innych.

Nowe całkowite odnowienie tego kościoła miało miejsce w wieku zeszłym, za staraniem głównie kanonika Pieszyny i przy pomocy składek całego narodu.

Kościół ten w większéj połowie niedobudowany, liczy długości 188, a szerokości 159 stóp wiedeńskich; wysokość środkowéj nawy wynosi wewnątąz 102 stopy nad podłogę, zewnątrz zaś ze strzechą krytą po większéj części miedzią 159 stóp, wysokość wieży 318 stóp. Wszytkich kaplic jest 13 z 25 ołtarzami, a między temi św. Wacława z jego grobem; książąt Lobkowiczów i Martyniczów hrabiów Kińskich; cesarska z ołtarzem św. Ludmiły; Morawska z ołtarzem śś. Cyryla i Metodego oraz św. Wojciecha z grobem*), oraz jego brata św. Radims czyli Gaudentego i innych. Kaplica św. Jana z Nepomuk z jego grobem, odznacza się bogactwem ścian, obłożonych srebrem i posągami z tegoż kruszczu, oraz 27 takiemiż lampami a jedną złotą, wszystkiemi bardzo misternéj roboty. Wszystkiego srebra znajdującego się w téj kaplicy, liczą 36 centnarów. Jest tu także grób św. Wita i wiele innych. Grób królewski znajduje się w samym środku kościoła a nadgrobek z marmuru kararyjskiego artystycznie wykonany, wystawiony był w r. 1589. Spoczywa w nim czternaście osób rodu królewskiego, od czasów Karols IV; poprzednicy bowiem tego monarchy spoczywają w innych grobach bocznych. Przemyśl Otokar I i II, Brzetisław I i II, Borzywoja II, Spitihniew i t d., z oddzielnemi nadgrobkami. Mnóstwo tu znajduje się znakomitych obrazów i malowideł, sprzętów artystycznego wyrobu, oraz innych drogocennych pamiątek, których wyliczenie za wiele zajęłoby miejsca.

Kościół Pragski św. Wita jakkolwiek nieukończony i w części skażony niewłaściwemi dorobkami, jest jednak zawsze wzorem stylu gotyckiego. Wszystkie jego części odznaczają się najdokładniejszą proporcyą i lekkością, niemą tu nic nieprawidłowego, ciężkiego, grubego, jak to spostrzegać się daje w wielu niemieckich kościołach gotyckich z tegoż samego wieku. Wnętrze atoli nie zachowało się w takiej czystości pierwotnege planu, uległo ono większemu skażeniu, skutkiem przeinaczeń w zeszłem stuleciu — owym wieku zamiłowania w kędzierzawych i pudrowanych perukach i harcapach. To też wnętrze tego kościoła nie robi takiego wrażenia, jakiego oczekuje każdy pierwszy raz doń wchodzący, po obejrzeniu go zewnątrz.

*) Zwłoki św. Wojciecha przywiezione tu zostały z Gniezna przez Bretisława I w r. 1539, a jednak miasto Gniezno utrzymuje, że posiada także zwłoki tego świetego. Musi więc być prawda, żu Bretisławowi wydano jakieś inne.

Łamigłówka.

24 zgłosek, a mianowicie:

a, a, dna, go, je, mo, ni, ni, nie, o, pa, pag, pe, pie, prze, re, ro, sa, sy, tor, tyt, u, xis, ze.

tworzą następujący wyrazy:

1. Roślinne pożywienie. 2. Sławny malarz starożytności. 3. To, naczem często bogaczowi zbywa, a czego uboczy zwykle miewają za wiele. Groźny statek. 5. Rzecz która drażni podniebienie i gardło, a jednak dla wielu jest przyjemnością. 6. Dawny Sąd Grecki. 7. Stronnictwo we Francyi.

Początkowe litery od góry do dołu stanowią nazwę napoju, który zwykle podają potem, co końcowe litery w tym samym porządku oznaczają,

(Rozwiązanie szarady w nr. 32: **Saper.**)

Korespondencya Redakcyi.

Pannie Urieli w Czar.: Pragniemy dowiedzieć się o rzeczywistem nazwisku autorki. Dałoby to nam możność bliższego porozumienia się i możność szerszego pomówienia o próbkach nadesłanych. Dziś poprzestajemy na podziękowaniu za pamięć i na oświadczeniu, że dwa wierszyki zdradzają talent. — Panu Ziemskiemu w Pleszewie. Rękopismu o kościele w Grodzisku chwilowo odszukać nie możemy. Zaginąć on jednak nie mógł, a więc, choć nieco później dojdzie rąk pańskich. — Przy téj sposobności oświadczamy raz jeszcze to, cośmy nieraz powtórzyli, że Redakcya rękopismów autorom nie zwraca. Jest to zwyczaj powszechnie przyjęty. Panu X. J. Z. pod Bydgoszczą: Wolelibyśmy, żeby się list nadał do druku, zaś artykuły żeby były listem; prosiemy o co innego. Krakowiance: Pióro z umysłu krzywo przycięte bezwątpienia zdać się może na co lepszego. — Panu Szaławile: Skoro pisania listów zabronić nie możemy, przynajmniéj tak dowcipne należałoby frankować. — Panu Dalekowidzowi: Wlazł na gruszkę, siał pietruszkę, rzepa mu się rodzi. —